

Piotr Żbikowski

REFLEKSJE NIEZBYT OPTYMISTYCZNE

Egzaminy wstępne na uczelnie wyższe minęły już dawno i obecnie pamiętają o nich tylko ci, którzy sporządzają tasiemcowe sprawozdania do wszelkiego rodzaju instancji nadrzędnych. Przebieg jednak egzaminów, stan przygotowań kandydatów, osiągnięte przez nich ostatecznie rezultaty, prowokują, jak co roku, do szeregu przemyśleń, do wyciągnięcia wniosków, czy choćby zasygnalizowania pewnych zjawisk, czasem niepokojących, a narzucających się egzaminującym i obserwatorom.

Na wstępie jedno tylko, konieczne zastrzeżenie. Garść uwag, jaka nasunęła się piszącemu, nie pretenduje do rangi ogólnie obowiązujących ustaleń. Zdecydował o tym zarówno brak kompetencji, jak dorywczość i cząstkowość zebranych obserwacji. Dokonano ich poza tym tylko w oparciu o egzaminy wstępne na Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Rzeszowie, dlatego też dotyczą w głównej mierze tej właśnie uczelni, choć nie jest wykluczone, że niektóre z dostrzeżonych symptomów mogły pojawić się również w innych ośrodkach akademickich w Polsce.

Otóż w bieżącym roku na rzeszowską uczelnię zdawało około 700 osób. Najwięcej, bo przeszło 170 na filologię polską, najmniej, bo 45 na kierunek wychowania technicznego. W sumie, na jedno miejsce przypadało około trzech kandydatów. Większość z nich rekrutowała się co prawda z województw rzeszowskiego, krakowskiego i katowickiego. Spory jednak odsetek stanowili absolwenci liceów ogólnokształcących i pedagogicznych oraz techników z województw — lubelskiego, warszawskiego, a nawet olsztyńskiego, bydgoskiego i szczecińskiego. Reprezentowane więc były odległe od siebie części kraju i różne

typy szkół, przystępowali do egzaminu kandydaci bezpośrednio po maturze (w większości) i tacy, którzy świadectwo dojrzałości uzyskali przed dwu lub trzema laty, przedstawiciele środowisk robotniczych, chłopskich, inteligentkich i rzemieślniczych.

Ten szeroki wachlarz miejscowości, typu szkół i pochodzenia społecznego, jaki reprezentowali kandydaci, a także ich liczba, pozwalają, w części przynajmniej, traktować ich jako mikrośrodkowisko o typowych dyspozycjach socjologicznych i psychicznych, o typowych dla ogółu współczesnej młodzieży umiejętnościach i nawykach wyniesionych ze szkoły średniej.

Jak konkretyzowały się one w decydującym momencie, czyli inaczej, jak przedstawiał się stan przygotowań kandydatów w czasie egzaminów wstępnych. Weźmy dla przykładu choćby kierunki filologiczne, polonistykę i rusycystykę.

Przypomnieć wypada, że egzamin na filologię rosyjską obejmował język rosyjski, wybrane zagadnienia z literatury polskiej i elementy z historii powszechnej, na filologię polską, wiadomości z historii literatury polskiej i gramatyki języka polskiego, z historii Polski oraz język obcy. Dodać przy tym trzeba, że zwyczajem lat ubiegłych, egzamin pisemny na polonistykę, zarówno dla eksperymentu pedagogicznego, jak dla uniknięcia dublowania praktyk maturalnych, wymagał od kandydatów, nie kolejnego „wypracowania”, ale odpowiedzi na kilka pytań z zakresu elementarnych wiadomości historyczno- i teoretycznoliterackich oraz podstawowych faktów z gramatyki opisowej. Np.: wskaż różnice między opowiadaniem (jako formą podawczą) a opisem w „Panu Tadeuszu”; napisz krótką charakterystykę Rzeckiego;

wymień, jakie kategorie wyrazów piszemy z dużej litery i uzasadnij tę pisownię.

Jak łatwo dostrzec na podstawie podanych przykładów, tematy uwzględniały wiadomości objęte programem nauczania szkoły średniej i dostosowane zostały do umysłowości przeciętnego absolwenta. Spełniały więc podstawowy warunek faktycznego sprawdzianu wiedzy i inteligencji kandydata.

A jednak... na filologię polską nie zdało egzaminu wstępnego, mimo iż przebiegał przez cały czas w atmosferze życzliwości i pełnego zrozumienia ze strony egzaminatorów, około 40 procent kandydatów, na rusycystykę zaś blisko połowa.

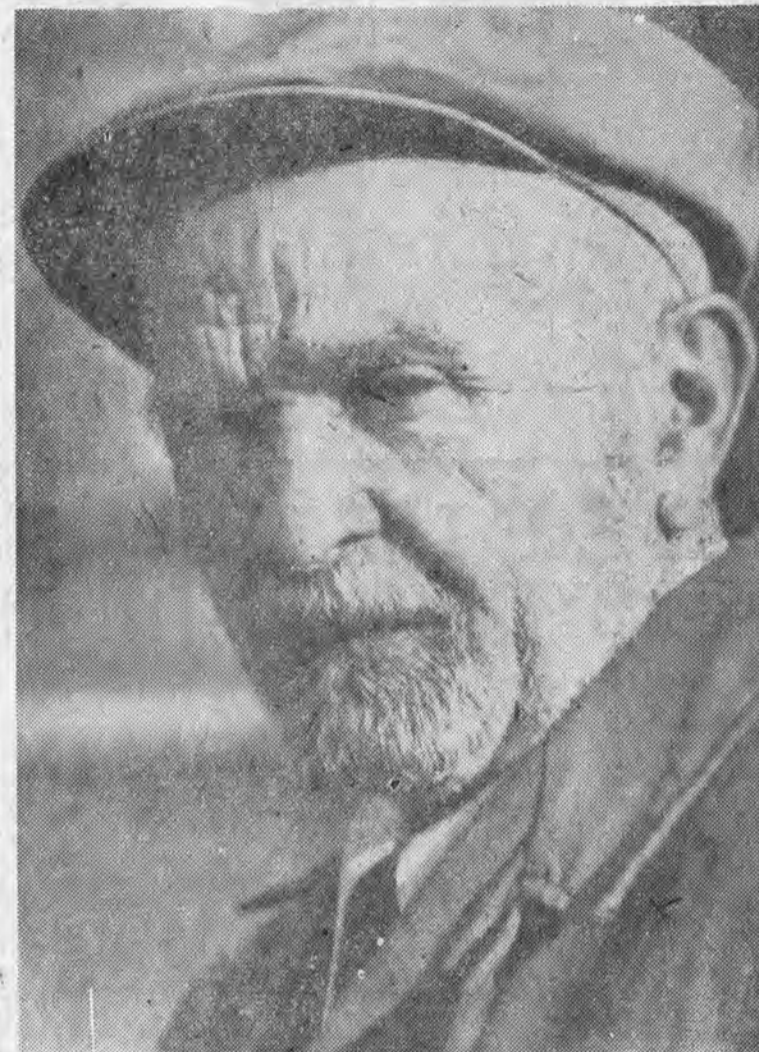
Co zdecydowało o tak znacznym procencie „odpadu”? Myślę, że przyczyn owego niepokojącego zjawiska jest kilka, do najistotniejszych zaś chyba należy, istniejąca i od lat coraz dotkliwiej odczuwany, brak ścisłej synchronizacji między nauczaniem, w tym przypadku języka polskiego, w szkołach średnich a wymogami obowiązującymi przy egzaminie wstępnym.

Brzmi to na pozór paradoksalnie, bo przecież egzaminator ma obowiązek egzekwować tylko te wiadomości, które absolwent wyniósł z liceum. W istocie jednak ów paradoks jest tylko pozorny.

Przed wszystkim więc, ogromny zakres materiału, z którym polonista musi w szkole zapoznać młodzież w ciągu czterech lat, stoi w wyraźnej dysproporcji do mocno ograniczonej liczby godzin, jakimi dysponuje. (W starym programie 5 godzin tygodniowo, w nowym już tylko 4). Stąd konieczność skrótów, powierzchownej nieraz analizy utworu, uciekania się do gotowych formułek, trudności w kontrolowaniu opanowania materiału przez młodzież. Różny poza tym poziom intelektualny wychowanków przy jednoczesnym obowiązku nauczania nawet najsłabszych z owych 30 czy 40 uczniów w klasie, również poważnie przeszkadza w pełnym przekazie wiadomości, powodując szereg ograniczeń i zmuszając do sygnalizowania jedynie pewnych faktów.

Są to niektóre tylko z tzw. trudności obiektywnych, jakie sprawiają, że przewidziany programem zakres wiedzy nie zawsze trafia do młodzieży w całości. A przecież składają się nieraz na te ograniczenia także osobiste upodobania nauczyciela do poszczególnych pisarzy, utworów i epok, a niechęć do innych, upośledzenie pewnych działów nauczania w starym programie, różne kwalifikacje i doświadczenie pedagogiczne, nie zawsze słuszne ingerencje hospitujących i wizytujących lekcje, utrudniony dostęp, szczególnie w mniejszych miejscowościach do lektury. Poza tym, przy najbardziej nawet przewidującym i poprawnym, w sensie metodycznym, rozkładzie materiału, nauczyciel-polonista nie ma w zasadzie czasu na lekcje powtórzeniowe. W konsekwencji zaś uczeń pod koniec roku niewiele pamięta z tego, co poznawał na początku, nie mówiąc już o tym, że u młodzieży klasy X, czy tym bardziej XI wiadomości z Odrodzenia lub Oświecenia są najczęściej w stanie szczałkowym. Z kolei egzaminator wymaga od kandydata dobrze, a przynajmniej dostatecznie opanowanej całości materiału przewidzianego programem, wymaga elementarnej choćby znajomości podstawowych faktów, bez których nie sposób studiować nauki o literaturze.

I stąd właśnie, z owej różnicy wymagań i kryteriów, wywodzi się wspomniany, faktycznie istniejący,



Stary Profesor

fol. MIECZYSLAW NYCZER

Zbigniew Jerzyna



PRZYJACIELOWI THANK-LE

1.
Nie, nie widzę łuny.

2.
Jest prawo gwiazdy co nam wszystkim świeci.
Jest zimny płomyk na dnie naszych oczu
Jedyna pewność! — To grób nas jednoczy?

3.
Jest prawo głodu. Dłoń jest w kształcie chleba.
I usta mają jeden krzyk pragnienia.
Do jednej liczby idą nasze kroki —

4.
Jaką nieść pomoc, kiedy dwie epoki
jak twarde tryby w siebie się wczepiły.
Czy ząb wylamać — miejsce dla człowieka?



NORWID

Nad Nagrobkiem — nad sobą stałeś pochylony.
Z lekkim drżeniem języka mówiłeś: ja — Złotówek.
Wierząc nadal we Wszystko. Snił Bóg zapalony.
I aniołów dwa skrzydła — z popiołu — u powiek.

W twarz ci ziemią rzucono, wokół wiodły kwiaty.
I w historię wchodziłeś niby w głąb cmentarza.
Grób świata cię zachwycał jak rozblysk poświaty
Lampki chciałeś sprzedawać, z uśmiechem kramarza.

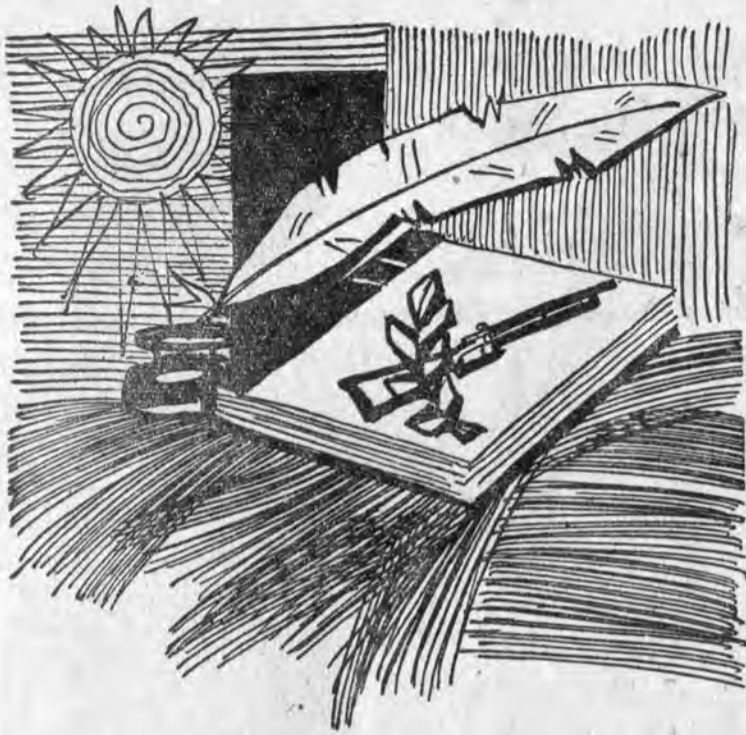
A lza stygła. I w lzie widać było błysk ironii.
Jak kamienne odpryski spod dłuta ciężkiego.
Bo gdy rozpacz zbyt wielka — jak ocean chroni.
Ziemi obszar dźwignięty do nieba — ludzkiego.



Maria-Cichorzewska-Drabik „Portret Urszuli J.”

fol. M. KOPEC

CIĄG DALSZY NA STR.



Rys. J. SIENKIEWICZ

REFLEKSJE NIEZBYT OPTYMISTYCZNE

(Ciąg dalszy ze str. 1)

brak synchronizacji między szkołą średnią a wyższą.

Innym czynnikiem, który według mego przekonania, wpłynął również na poważne obniżenie poziomu nauczania w szkole, pośrednio zaś zaciążył nad stanem przygotowania kandydatów na studia, jest realizowana obecnie procedura maturalna. Dawniej, egzamin dojrzałości w zasadniczy sposób integrował kilkuletnie wysiłki pedagoga i zmuszał ucznia do rzetelnej repetycji materiału, do powtórnego przywołania zagubionych w ciągu lat wiadomości. Obecnie, ograniczenie w praktyce matury z języka polskiego do egzaminu pisemnego tylko, wyrugowało jej dawną funkcję. Młodzież przygotowuje się do niej nie zawsze starannie, hołubiąc w sercu uzasadnioną w dużej mierze nadzieję, że oklepany często temat pracy pisemnej przynajmniej w sposób dostateczny wyczerpie. Umknął gdzieś, jakże ważny przecież, moment mobilizacji ucznia do generalnego wysiłku, zastąpiony ideałem życia ułatwionego. Przy egzaminach wstępnych na uczelnie wyższe, rezultat owych modyfikacji jest na ogół żalony.

Istnieją na pewno inne jeszcze przyczyny, które zadecydowały o zaprezentowanym przez kandydatów poziomie przygotowań. Nawet jednak dotychczas już wymienione wystarczą, aby w ostatecznej konkluzji stwierdzić, że przebieg tegorocznych egzaminów nie przyniósł z sobą pozytywnych horoskopów na przyszłość. Bo nie idzie tu jedynie o tych, którzy nie przebrnęli przez ten akademicki Rubikon. Rzecz w tym, że zasób wiedzy i sprawność intelektualna ogółu zdających nie napawała optymizmem. Obserwacje wykazały dalszy spadek poziomu w porównaniu z rokiem ubiegłym, i to na wszystkich kierunkach studiów WSP. Niewielu kandydatów osiągało oceny bardzo dobre i dobre, przeważały wyniki przeciętne, zarówno przy egzaminie pisemnym, jak i ustnym. Rzecz przy tym charakterystyczna, iż większość kandydatów, która wykazała zadowalające opanowanie materiału, dużą dojrzałość sądów i samodzielność przemyśleń, wywodziła się przede wszystkim z liceów pedagogicznych i techników. Absolwenci szkół ogólnokształcących, nawet z dużych miast, pozostawali wyraźnie w tyle.

W ogóle jednak zjawiskiem powszechnym był brak osobistego stosunku emocjonalnego zaangażowania kandydatów do problematyki związanej z wybranym przez siebie kierunkiem studiów. Znikoma zupełnie ilość umiała np. wskazać na ulubionych poetów czy pisarzy, albo choćby szczegółowo bliźkie sobie utwory literackie. W ogromnej większości wypadków powtarzały się podręcznikowe formułki i stereotypowe określenia. Prawie nikt przy tym nie próbował wykroczyć poza wyniesiony ze szkoły kanon lektur.

Opanowanie z kolei nawet owego minimum przedstawiało wiele do życzenia. Młodzież wykazywała

z reguły żenującą ignorancję w zakresie literatury epoki odległych, a jednocześnie... współczesnego życia literackiego. Przenoszenie Krasickiego do Odrodzenia, Kochanowskiego do Oświecenia, zasadnicze pomyłki w ustalaniu chronologii epok, powierzchowna jedynie znajomość podstawowych lektur, bezradność przy omawianiu cech dystyngowanych okresów literackich oraz niezajomość współczesnej prasy literackiej, to fakty, które bynajmniej nie należały do rzadkości. Wielu kandydatów nawet arcydzieła literatury polskiej („Pana Tadeusza”, „Lalkę”, „Potop” czy „Ogniem i mieczem” znało jedynie ze streszczeń, bryków i opowiadań kolegów.

Jeszcze gorzej bodaj przedstawiała się orientacja w zakresie elementarnych pojęć teoretycznoliterackich oraz umiejętności posługiwania się podstawowymi formami wypowiedzi. Różnice między gatunkiem a rodzajem literackim, powieścią a opowiadaniem, felietonem a reportażem, ustalenie różnic między realizmem a naturalizmem, następczy poważnej części młodzieży zasadnicze trudności. Na 18 prac pisemnych, w których należało scharakteryzować Rzekę, tylko jedna zawierała charakterystykę sensu stricte, reszta, ogólnikowo i nieudolnie streszczona dzieje Prusowskiego bohatera. Oceny ogólnych zjawisk literackich, a nawet poszczególnych pisarzy, utworów lub postaci raziły naiwnością i schematyzmem. Z reguły określano tylko wartości ideowe albo polityczne, wykazując całkowitą bezradność przy analizie artystycznej utworów.

Nie są to jedyne niedostatki wykazane przez kandydatów na egzaminach wstępnych. Nie chodzi też o ich pełny rejestr. Zasadnicze bowiem znaczenie ma nie tyle charakter wymienionych błędów, (powtarzają się one niemal co roku) co ich typowość, powierzchowność, częstotliwość pojawiania się przy egzaminie. A skoro wspólne były one absolutem w różnych częściach Polski i z różnych szkół, mają też zapewne wspólne źródło. Odszukanie go jednak i określenie nie jest celem niniejszych rozważań, choć samo istnienie warto zasygnalizować.

Oczywiście, przy ogólnej ocenie egzaminów należy pamiętać, że na kierunki filologiczne nie zawsze zdawali najlepsi absolwenci szkół średnich. Większość z nich wybrała na pewno politechnikę, medycynę, prawo i inne bardziej intratne studia, obliczając wyższy standard życiowy. Trzeba też wziąć poprawkę na spory odsetek tych, którzy wybrali się na studia pedagogiczne przez wyrażone nieporozumienie, nie zawsze najszcześliwiej wytypowani przez Szkolne Komisje Rekrutacyjne. Aby obraz był pełny i możliwie obiektywny, przypomnieć wreszcie wypada i o tych, których wiedza, inteligencja i zdolności wykraczały daleko poza wymagania egzaminacyjne. Niemniej w osobistym odczuciu piszącego, nawet te jasne kolory nie zmieniają zasadniczej tonacji i one sprowokowały do niniejszych refleksji.

PIOTR ŻBIKOWSKI

Bywają na wsi okresy, kiedy właściwie nie ma w co rąk włożyć. Zwłaszcza jesienią i zimą, w długie, ciężkie wieczory i noc.

Staralem się w czasie wojennego, przymusowego pobytu w Nienadówce jak najwięcej pisać i czytać właśnie w takie białe i czarne, koszarne doby.

Urządzałem wypadki do pobliskiego miasteczka Sokołowa. Tutaj wszedłem w znajomości ze starą nauczycielką Stefanią Czerkawką, entuzjastką poezji Staffa, Tuwima i w ogóle skamandrytów, a potem z profesorem gimnazjalnym Andrzejem Dańczykiem, który obecnie z powodu zamknięcia szkół pracował w aptecce swojej siostry.

Zarówno u Czerkawskiej, jak w aptece, można było podyskutować na tematy literackie, popłotkować o polityce i pożyczyc do czytania coś z Wiktora Hugo, Dostojewskiego, Gorkiego, Gide'a, Iwaszkiewicza, Żegadłowicza („Motory”) itp. Dyskusje te i lektura dawały mi złudzenie, że nic się nie dzieje, że na świecie panuje spokój.

Ale o spokoju nie mogło być oczywiście mowy. Wojna nie omijała nawet tak cichych zakątków, jak Nienadówka, Trzebuska czy Sokołów.

Byłem świadkiem eksportacji tułejczych Żydów do getta w Sokołowie. Kolbuszowski kreishauptmann, zbier hitlerowski Twardoń, osobiście dokonywał egzekucji publicznych, strzelając z rewolwerów do wybranych na pastwę ofiar. Biedni Izraelici usiłowali uciekać z getta, kilku z nich kryło się w nienadowskich lasach, kilku u chłopa w Trzebusce. Naturalnie niedługo chodzili na wolności sygnalizując czasem zimą w grubach na ziemniaki. Żandarmeria niemiecka dostala ich w obławach i stracono ich wraz z udzielającymi im pomocy chłopami. Pewna młoda Żydówka chcąc uchronić swoje małe dziecko od zagłady, ukrywała się przez długi czas w opuszczonym domu na skraju Nienadówki w piecu chlebowym. Zobaczył ją kiedyś jakiś podlec i doniósł o tym na posterunek policji granatowej. Zapano ją i rozstrzelano na miejscu. Ktoś z gospodarzy zdążył tylko z narażeniem życia ukryć jeszcze jej dziecko. Oddał je potem na wychowanie siostrzom służebniczkom w ochronce.

Organizowano ze strony hitlerowców ustawicznie obławy i łapania po całej okolicy i wywożono schwytych w najlepszym razie na roboty do Trzeciej Rzeszy.

Batem się o swoją skórę. Byłem na oku sołtysa, który był konfidentem i donosił władzom okupacyjnym o każdym niepożądanym elemencie we wsi, a ja przecież jako niepracujący inteligent, w dodatku dawny uciekinier z seminarium duchownego, uchodziłem za wyrzutka społeczeństwa.

Adolf Jakubowicz

Chwalił niedawno w „Światowidzie” Redaktor Zbigniew Mikołajczak, Gorlice — uczestnika pojedynku prowadzonego w ramach konkursu „Expressu Wieczornego” i Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki pod hasłem „Jada goście, jada”.

Przytacza szereg pozytywnych przykładów dobrej roboty gorlickiej i zastanawia się „Dlaczego Gorlice, miasteczko 15-tysięczne, sławne, jako kolebka polskiego górnictwa naftowego wezwwały do współzawodnictwa Sanok, liczący o 50 procent więcej mieszkańców, znany, jako siedziba zakładów produkujących popularne autobusy?”

W ciągu bieżącego sezonu byłem w Gorlickim kilkakrotnie. Rejon ten zresztą odwiedzałem od szeregu lat. Z przyjemnością obserwuję zmiany, jakie zachodzą w nim na każdym kroku. Dużo zrobiono na przykład by turysta zmotoryzowany, a jest takich w całym kraju coraz więcej, mógł się tutaj swobodnie poruszać. Drogi są wprawdzie kręte i nie najszersze, ale starannie utrzymane, oznakowane. Nawet tam, gdzie nastąpiło oberwanie brzegu wyrasta solidny murek i znak nakazujący zmniejszenie szybkości i ostrzegający przed niebezpieczeństwem. Jest to tym bardziej godne podkreślenia, że kilkadziesiąt kilometrów dalej na tej samej drodze prowadzącej z województwa krakowskiego w Bieszczady między Krosnem a Miejscem Płastowym, drodze szerokiej i prostej, jak strzelił, stwarzającej, jak by się wydawało możliwości bezpiecznej jazdy zrobiła się taka „pralka”, że stanowiło zagrożenie bezpieczeństwa ruchu, a do dnia dzisiejszego nikt nie wpadł na pomysł, by odpowiednim znakiem drogowym ostrzec turystę, co go na tym kilkukilometrowym odcinku czeka...

Nie chce jednak przeprowadzać analogii i porównań, które z miast biorących udział w konkursie jest lepsze Gorlice i Sanok, Ustrzyki czy Lesko. Do zakończenia konkursu pozostało jeszcze kilka tygodni i właściwie nie konkurs jest tu

Sołtys (niejaki Walenty Kołodziej) został wyrokiem sądu podziemnego zastrzelony w swoim domu, ale to mojej sytuacji i sytuacji innych nie polepszyło.

Wies przeżyła jednego czworoletniego dnia krwawą pacyfikację. Napuszczony został tutaj oddział SS, który przez kilka godzin szalał i mordował. Zostało zabitych dziesięciu niewinnych ludzi, wielu

Spotkałem się z nim raz na odprawie w Widelce. Zdziwiłem się ogromnie, gdy stanął przede mną chudy o śniadej twarzy i ognistych oczach człowiek, z odciętą całąkowiec jedną nogą, przekazując mi bardzo ważne komunikaty radiowe z Londynu. Poruszał się z trudem przy pomocy metalowej laseczki, a w dalszy teren jeździł na skromnym, sfatygowanym rowerze. Po-

JAN BOLESŁAW OZÓG KONSPIRACJA I PARTYZANTKA

ranych, a do obozu (do Pustkowa) wzięto ponad dwudziestu mężczyzn i nikt stamtąd żywy nie wrócił.

Ocalałem tego dnia [tylko cudem uciekając przed strażami, które oddawał za mną pędzący na motocyklu zbier hitlerowski. Zdołałem się schronić w zbożu na polach.

Nastrój ogólnego zagrożenia, choć pomysł na zniwiedzonych szkopach i ogólna, coraz bardziej wzrastająca niedzła i głód sprzyjały wszędzie, tak na „wsi jak i w mieście, powstaniu zbrojnych organizacji bojowych. Na terenie powiatu kolbuszowskiego pojawiły się komórki Armii Krajowej, a potem Gwardii Ludowej i Batalionów Chłopskich.

Z wiosną 1943 roku wciągnięty zostałem za pośrednictwem miejscowego (na wsi) nauczyciela Józefa Guzandy do AK. Przydzielono mi funkcję podreferenta prasowego na powiat. Do zadań moich należało gromadzenie materiałów do okrojonej prasy. W Rzeszowie wychodziło (co 10 dni) pismo „Na posterunku”, w Kolbuszowej „Wiarus”, w Sokołowie „Oracz”. Gazetki te zasilałem, jak mogłem artykułami i notatkami swoimi i nieswoimi, informującymi o terrorku wroga, a z końcem 1943 roku pojawiały się zaczęły w jednej z nich, mianowicie w „Na posterunku” także moje wiersze wojenne. Naturalnie autentyczne, naprawdę... z przeżyć. I to jakich!

W roku 1944 ogłosiłem ich więcej. Zebrałem wszystkie wiersze wojenne w cykl „Romans z karabinem” i wysłałem drogą służbową do zwierzchnich władz akowskich. Cały zbiorek miał się ukazać drukiem pod firmą Referatu Propagandy AK.

Bezpośredni mój zwierzchnik, referent prasowy Michał Mokrzycki, którego znałem wtedy tylko pod pseudonimem Orlik, podobał się mi jako bojownik i organizator był ofiarny i niesłychanie odważny.

trafił jakoś bez wstywu redagować rozmałą prasę a przede wszystkim „Wiarusa”, naturalnie na powielać, przez długie miesiące i lata.

Po nawiązaniu kontaktu z prof. Pigoniem w Krakowie, który prowadził tajne wykłady i przyjął moją pracę magisterską, pisaną w terenie powiatu kolbuszowskiego także do tajnego nauczania. Przez cały rok szkolny, od jesieni 1943 roku do czerwca 1944 roku, bawiłem się w nauczyciela gimnazjalnego. Na kilku zorganizowanych kompletach z młodzieżą wiejską z Nienadówki i pobliskich wsi Trzebuski i Turzy uczyłem języka polskiego, łaciny i historii. Wynagrodzenia, które wypłacyli mi władze akowskie użyłem przede wszystkim na kupno własnego garnituru i butów.

Okolo 20 lipca 1944 roku zbliżyła się do granic powiatu kolbuszowskiego bez przerwy od wielu miesięcy napierająca na cofające się wojska niemieckie Armia Czerwona.

Dowódca AK na powiat, Józef Boryna Rządcki zarządził pełną mobilizację wszystkich oddziałów bojowych.

Poszedłem — na ochotnika w lasy. Nosilem na ramieniu angielski stén (z broni zrzutowej), za pasem amerykański wielostrzałowy pistolet i granaty. Brałem udział w kilku potyczkach, m. in. w bitwie pod Porębami Kupieńskimi (w dniu 1 VIII), w której legło trupem ponad 70 Niemców. W sztabie pułkownika pełniłem funkcje oficera oświatowego. Pisałem oczywiście także wiersze.

Czekałem ciągle jeszcze na druk „Romansu z karabinem”. Niestety sprawa schodziła coraz bardziej na boczny tor. Wkrótce cała połowa kraju została uwolniona spod niemieckiej, Armia Krajowa swoją działalność zakończyła i publikowanie wierszy antyniemieckich w drukarni konspiracyjnej było już niepotrzebne.

szę go sobie zabrać. Kelnerka do kuchni (wołanie do windy, która kuchnia wysyła posiłki na sale): — Pani szefowa, gość mówi, że krokiet jest niedobry. Przez wspomnianą wyżej windę odbyły się publiczne kłótnie między kelnerkami a szefową dla kogo sa te ostatnie dwa schabowe wysłane do góry. Wątpliwość rozstrzygnęli klienci, którzy wołali chórem, że to dla nich. Umęczeni upałem szukaliśmy ochłody. Poprosiliśmy o kefir.

KILKA

Podano go, ale nie nadawał się do picia.

20 lipca godzina 16. Nowo otwarta restauracja „Myśliwska” w Baligródzie. Upalne, sobotnie popołudnie. Sala bufetowa wypełniona pijanymi. W sali bezalkoholowej czysto, przestronno. Na ścianach ptaki, rogi jelenie. Część sanitarna restauracji bez zarzutu. Tylko z drzwi oznaczonych trójkąkiem wyjeżdża kłami. Dlaczego? pytam się starszej kobiety kręcącej się po pomieszczeniu. — Jak to pan nie wie? Bo s...ja!

Restauracja w Cisnej. Popołudnie. Sobota. Kelnerka wspólnie z kierownicą i usługowymi ludźmi taszcza do bufetu cztery transportery wódki, tej najtańszej kapslowanej blaszką. — Po co tyle wódki? — Jak to po co? To pan nie wie, że jutro niedziela?

W tej restauracji byłem kilkakrotnie o różnych porach dnia. Zawsze spotkać można pijanych. Podobnie, jak w Baligródzie, podobnie, jak w Lutowskich, podobnie, jak w Hoczwi, podobnie, jak w Leksu, jak w Sanoku. Sale bezalkoholowe sa fikcja, jeśli

Tom wspomnień Polaków — uczestników Rewolucji Październikowej*) należy do wydarzeń wydawniczych szczególnie ważnych: czytelnicy otrzymali po raz pierwszy, relacje ponad stu uczestników walk o utrwalenie władzy radzieckiej.

Jest to księga ważna z bardzo licznych względów: wiele mówiono u nas o udziale Polaków w Rewolucji Październikowej, jak dotąd jednak nie mieliśmy tak obszernego zbioru materiałów, napisanych bądź w latach ostatnich, bądź wydobytych i przedrukowanych z roczników licznych czasopism radzieckich, w których polscy rewolucjoniści zamieszczali, w różnych okresach swoje pamiętniki. Najczęściej źródłem wspomnień są materiały pozostające w archiwach Zakładu Historii Partii, inne zaczerpnięte zostały z publikacji radzieckich zarówno centralnych, jak i prowincjonalnych. Często cytowany jest jako źródło periodyk „Z pola walki”, wydawany przed laty, w języku polskim, w Moskwie, nie brak jednak i tak dziwnego tytułu, jak „Kriedit i Chożajstwo”, skąd zaczerpnięto wspomnienia z 1927 roku, Jakuba Fürstenberga-Haneckiego, członka Zarządu Głównego SDKPiL, będącego od 1917 roku zastępcą głównego komisarza Państwowego Banku Ludowego, a na-

W 50 ROCZNICĘ Wielkiego Października

stępnie — między innymi — dyrektorem tegoż banku. Innym źródłem jest czasopismo „Krasnaja Now”, skąd przedrukowano fragmenty wspomnień Karola Radka: sporo materiałów pochodzi z czasopisma „Proletarskaja Rewolucja” oraz „Wojennyj Wiestnik”. Jak widać — redaktor tomu oraz wydawca dokonali pracy olbrzymiej, zasługującej w pełni na uznanie.

Całość podzielona została na siedem działów, w których wyodrębniono dwa, obejmujące dzieje rewolucji w Piotrogradzie i w Moskwie. Pozostałe, mimo iż dotyczą jednego wspólnego historycznego okresu, zawierają dzieje poszczególnych olbrzymich obszarów byłego państwa carów, które stało wówczas w ogniu walki. Mamy więc relacje z południa i Syberii, z zachodnich rubieży i szczytów Pamiru, znad Donu i Wołgi.

Liczne były rzesze Polaków w Rosji porwane olbrzymią, rewolucyjną falą, zagarniającą masy zadreżone wojną, głodem, brakiem nadziei. Ale spośród tych licznych rzesz byli i działali rewolucjoniści polscy, którzy dopiero w 1917 roku opuścić mogli kazamaty i miejsca zsyłki, dokąd zawędrowali jeszcze w latach 1905—1906. Rewolucja nie była dla nich zaskoczeniem, wśród bolszewików mieli swoich wypróbowanych od lat towarzyszy i przyjaciół, nie zjawili się w Piotrogradzie czy Moskwie jako obcy, których trzeba było wystawiać na próbę czy poddawać egzaminowi praktycznemu. Wielu spośród polskich rewolucjonistów znało od lat i współpracowało z Leninem i jego najbliższymi towarzyszami, od razu też objęli czołowe stanowiska państwowe, partyjne, administracyjne, by z całym oddaniem służyć nowemu

państwu, pierwszemu w dziejach państwu robotników i chłopów.

Autorzy wspomnień po prostu relacjonują, opowiadają o tym, co widzieli, mówią o swoim uczestnictwie w zdobywaniu gmachów, w obsadzeniu poczty i telegrafu, w budowaniu barykad; opowiadają o swej zbrojnej walce zarówno w Piotrogradzie, jak i w Moskwie, w Charkowie i w Baku.

Cały trud podejmowany przez rewolucjonistów rosyjskich i ich towarzyszy zmierzał do tego, aby po raz pierwszy w dziejach walka uciemiężonych nie skończyła się jeszcze jedną krwawo zdławioną bitwą, tylko zwycięstwem, zbudowaniem państwa, w którym poniżeni mieli przestać być ludźmi poniżonymi, a pogardzani mieli przestać znosić pogardę. Bili się więc o utrwalenie władzy radzieckiej Wincenty Łukowski, ur. w 1888 roku, zesłaniec Syberii, i Karol Kadłubowski, szewc-cholewkarz, ur. w 1885 roku we wsi Zaremba, Stanisław Pestkowski, urodzony w 1882 roku w rodzinie ziemiańskiej i Fürstenberg-Hanecki, ur. w 1879 roku w rodzinie mieszczkańskiej, był się Mieczysław Kozłowski, ur. w 1876 r. w Wilnie, adwokat, i Izaak Aszkenazy, ur. w 1887 roku, zesłaniec Syberii, robotnik należący do grupy ochraniającej Lenina, był się Jan Smaga, ślusarz, przed II wojną dowódca pułku lotniczego oraz dowódca pułku bombowców nocnych

w czasie II wojny światowej, był się o zwycięstwo Rewolucji Październikowej Romuald Muklewicz, włókniarz z Białegostoku i Aleksander Łaczysław z Pabianic, który ukończył studia filozoficzne w Zurychu.

Rzecz jasna, uwaga polskiego czytelnika zwrócona zostanie na te wspomnienia, których autorzy od lat znajdują się w centrum uwagi komunistycznej opinii partyjnej. Mówię o takich działaczach, jak St. Pestkowski, Fürstenberg-Hanecki, St. Bobiński, St. Budzyński, Feliks Kon, Karol Radek, Kazimierz Cichowski, Felicja Fornalska, Aleksander Daniłub i inni, należy jednak od razu nadmienić, że wszystkie — bez wyjątku — materiały zawarte w tej księdze są godne uwagi lektury, ponieważ stanowią żywe świadectwo nie tylko tamtych odległych już dni, lecz czegoś bardziej ważkiego, mianowicie tej idealowej atmosfery i politycznego zaangażowania, które przez długie lata oddziaływało na rozwój myśli rewolucyjnej w Polsce. Niektórzy spośród tych ludzi jeszcze żyją, są wśród nas, działają. To oni widzieli wydarzenia, które po raz pierwszy w dziejach ludzkości zaważyły na przyszłym kształcie świata, to oni współdziałali, by kształt ten utrwalił. Nasze uczestnictwo w lekturze ich wspomnień nie może się ograniczyć tylko do przyswojenia sobie jakiejś nowej sumy wiedzy o czasach minionych: tamte prawdy, tamte nadzieje, tamte porywy, nieprzetłumaczalne na mowę polityków i działaczy, stanowią powinny impuls dla umysłów i serc nowych pokoleń.

STANISŁAW WYGODZKI

*) Księga wspomnień Polaków, uczestników Rewolucji Październikowej, Książka i Wiedza.



SZCZĘŚLIWI

Fot. M. KOPEĆ

zza kotary albo tuż od drugiego stolika dochodzą pijackie śpiewy, lub odgłosy bójk. Nie jestem ortodoksyjnym zwolennikiem prohibicji. To co jednak dzieje się w zakładach gastronomicznych na najruchliwszych szlakach turystycznych jest skandalem kompromitującym nas w skali krajowej.

W sobotę i niedzielę, gdy na najczęściej uczęszczane szlaki przyjeżdżają tysiące ludzi, spokojne zjedzenie po-

ski Bałtyk, podoba im się krajobraz, zabytki, nie narzekają na kuchnię. Nie odpowiada im tylko niski standard urządzeń sanitarnych w obiektach turystycznych.

Nie wiem co mogliby oni powiedzieć po odwiedzeniu głównych tras turystycznych naszego województwa? Badania prowadzone w tym zakresie przez służbę sanitarno-epidemiologiczną i Najwyższą Izbę Kontroli nie dają powodu do zadowolenia. W ubiegłym sezonie turystycznym kontrola 142 zakładów żywieniowych i punktów żywieniowych znajdujących się w rejonach i na szlakach województwa rzeszowskiego wykazała między innymi, że ponad 17 procent tych zakładów nie zostało odremontowanych, prawie połowa nie posiadała odpowiedniego wyposażenia w sprzęt i urządzenia gastronomiczne, a w 36 procentach stwierdzono uchybienia w zakresie higieny osobistej personelu. Za ledwie jedną trzecią zakładów kontrolowanych w powiecie ustrzyckim i 40 procent w sanockim posiadała stan sanitarny zadowalający.

Nie ma jeszcze pełnych danych z bieżącego sezonu, ale wyniki kontroli przeprowadzanych przez Wojewódzką Stację Sanitarno-Epidemiologiczną w Rzeszowie wskazują, że jest to w naszym ruchu turystycznym jedno z najsłabszych i to wykazujących objawy chronicznego schorzenia ogniw. W kilkunastu przypadkach, jeśli zalecenia pokontrolne nie dają rezultatów, Inspektor Sanitarny skorzysta prawdopodobnie ze swych uprawnień i wyda decyzje zamknięcia obiektów. Jednym z zagrożonych jest wspomniana już restauracja w Cisnej.

Zwracałem wielokrotnie uwagę na to, że jest w Bieszczadach kilka tradycyjnych miejsc, gdzie zatrzymują się zmotoryzowani turyści. Tak jest na wzniesieniu w Brzegach Górnych, tak jest w Przysłopiu, na Wyżniańskim Wierchu. Co zrobiono, by ludziami zatrzymującym się, by stąd patrzeć na Caryńską, pozwolić odpocząć, czy wreszcie pozostawić samochód i dalej zrobić pieszą wycieczkę?

Nic lub prawie nic. Dlaczego nie można poszerzyć zajazdu, dlaczego nie zorganizować przynajmniej na okres największego sezonu strzeżonego parkingu, który umożliwiłby łączenie turystyki motorowej i pieszej? Walery Goetel w artykule „O właściwej drodze turystyki górskiej w Polsce” bogato udokumentowanym w przykłady z województwa rzeszowskiego, który zamieszczony został w „Rzeszowskim” numerze „Wierchów” (pisał o tym numerze „Nowiny Rzeszowskie”) stwierdza między innymi: „Zadania Komisji Górskiej PTK, kontynuującej tradycje Polskiego Towarzystwa Tatrzńskiego obracają się stale przede wszystkim w ramach turystyki czynnej. Troskę o turystykę „biernych”, którzy nie mogą się rozstać ani na chwile ze swym motorym środkiem lokomocji, pozostawiać powinniśmy innym instytucjom. Dla nas droga sudecko-karpacka (mowa jest o projektowanej drodze karpackiej, biegnącej wzdłuż południowej granicy naszego kraju J.A.) ma ułatwić podwożenie do okolic interesujących pod względem turystycznym po to, aby z punktów dojazdowych udawać się na wędrowki piesze. Kierunek ten, co jest charakterystyczne, zaczyna przejawiać się w całym świecie. Jazda pojazdem motorym winna się łączyć z wycieczkami pieszymi — takie jest hasło, szerzące się dzisiaj w krajach silnie rozwiniętego ruchu motorowego”.

Dlatego nie zrobić tak, jak robi się to już w wielu województwach, m. in. w bydgoskim, na Wybrzeżu — punktów widokowych? Przecież kto jak kto, ale my w Bieszczadach mamy co pokazać. Wiele się pisze i mówi o zamknięciu szlaków turystycznych. To prawda. Niedługo najczęściej odwiedzane miejsca na trasach turystycznych będą rzeczywiście wielkim śmietniskiem. Skoro nie pomagają apele, hasła, wezwania, zakazy, czy nie warto po prostu wykopać kilku dołów, do których będzie się wrzucać puszki po konserwach i butelki? (niestety, nie tylko po mineralnej...). Może turysta nie jest istotą tak złą i bezmyślną, mimo że nazywamy go czasami stonką?

Henryk Jankowski

W poszukiwaniu bohatera

Tradycyjnym elementem wszelkich systemów moralnych — są wzory osobowe. Stanowią one niejako konkretyzującą tych wartości, które wyrażane są również w postaci abstrakcyjnych norm. Z natury rzeczy w mniejszym stopniu na człowieka oddziaływa norma moralna, taka jak np. „bądź społecznie zaangażowany” czy też „dbaj nie tylko o własny, lecz również o społeczny interes”, niż przedstawianie jakiejś rzeczywistej postaci lub bohatera utworu literackiego, które stanowią wzory do naśladowania. Starożytni już mawiali, iż verba docent, exempla trahunt, co się tłumaczy: słowa uczą, przykłady zaś podciągają.

Wydaje się, iż po słusznej krytyce schematycznych wzorów bohatera pozytywnego z minionego okresu w tzw. „produkcyjniakach” zbyt pochopnie uznaliśmy, iż wcielanie w życie i wpajanie socjalistycznej moralności może odbywać się bez użycia w tym celu wzorów osobowych. Być może wynikało to z braku jasności, jakiego mianowicie typu wzory są właściwe dla naszej społecznej sytuacji. Powstała bowiem trudność następująca: wzory osobowe, związane z ruchem robotniczym i naukowym socjalizmem najczęściej wyrażały przede wszystkim walkę przeciwko kapitalistycznym stosunkom społecznym, z walką o władzę i wprowadzenie dyktatury proletariatu. Wiązały się one więc z socjalistycznym heroizmem, konspiracją, wojną domową, walką przeciwko interwencji czy walką ze zbrojnym podziemiem. Wzory te, rzecz jasna, w warunkach budowy socjalizmu stały się w pewnym miarze nieadekwatne do nowej sytuacji. Wówczas właśnie zaczęto stosować zasadę heroizmu do oceny normalnego wykonywania obowiązków w pracy. Co więcej, cała osobowość i wszelkie przejawy życia takie jak np. sprawy uczuciowe, rodzinne, podporządkowywano produkcyjnej działalności. Stąd więc bohater pozytywny był postacią schematyczną, jednolitarową, by tak rzec — papierową.

Nic więc dziwnego, iż w rezultacie można było zaobserwować zniechęcenie do samego określenia „bohater pozytywny”, które kojarzyło się z uproszczeniami, sprowadzaniem całej egzystencji człowieka tylko do działalności produkcyjnej.

A jednak okazało się, że istnieje potrzebne zapotrzebowanie na prezentację bohatera pozytywnego. Jest np. poważnym zjawiskiem społecznym ruch, jaki powstał w związku z telewizyjną serią „Czterej pancerni i pies”. Dowiódł on, iż nieprawdą jest, jakoby nie można było dopro-

wadzić do wysokiego stopnia popularności wzorów pod wielu względami odmiennych od różnego typu idoli charakterystycznych — jak wielu miało — dla współczesnej młodzieży.

Wzór moralny odczuwany przez młodzież nie uległ przecież minimalizacji z tego tylko względu, iż teraz panuje pokój. Jednakże obecnie, nie negując bynajmniej ich wartości, należy starać się poszukiwać bohaterów pozytywnych wśród tych, którzy w dzisiejszych warunkach żyją i pracują, których znamy, których warsztat pracy sąsiaduje z naszym warsztatem. Jednym słowem tych, którzy w naszych warunkach i w naszej sytuacji mogą swym życiem i działaniem stanowić określony wzór postępowania. Aby tego dokonać, musimy zerwać z fałszywym przekonaniem, że wzorami takimi mogą być wyłącznie wielkie postacie na miarę historyczną, wokół których narosła już literatura i legenda. Oczywiście, postacie takie mogą i powinny wchodzić w skład wzorów osobowych, anonsowanych współcześnie, lecz nie mogą się one bynajmniej do owych postaci ograniczyć.

Warto w związku z tym odnotować ciekawe inicjatywy, które zapoczątkował niegdyś „Sztandar Młodych”, a które organizowane były przez kilka pism wojewódzkich. Chodzi o plebiscyty, w wyniku których młodzież wybierze postawy ze swego otoczenia, które, jej zdaniem, zasługują na społeczny szacunek i naśladowanie. W założeniach takich plebiscytów było wyszukanie przez samą młodzież w swym otoczeniu osób, które się ceni, przy czym kandydatury owych osób powinny być szczegółowo uzasadnione. Plebiscyty takie cieszyły się zupełnie nieoczekiwaną popularnością. Cóż się okazało, kogo młodzież szczególnie ceni? W oczach np. ponad 4 000 członków młodzieżowych organizacji woj. bydgoskiego, uczestniczących w kampanii plebiscytowej — liczy się nade wszystko życie wiedzione nie tylko z myślą o sobie, ale i o innych, zawsze mające na względzie interes ogółu i nie osiagające własnych korzyści cudzym kosztem. Człowiek dziś przez młodzież ceniony musi osiągać coś w pracy zawodowej i zarazem społecznej. Sukces odnosił np. taka postać w zwierchnika, który w młodości podwładnych widział równych sobie partnerów. Specjalnie zaś oklaskiwany był szczer i otwarty stosunek do cudzych i własnych błędów.

Wypowiedzi plebiscytowe, drukowane w „Sztandarze Młodych” podkreślały jako szczególnie wart-

(Ciąg dalszy na str. 4)

PYTAŃ

siłku przy stolikach zalanych piwem, wódka, w towarzystwie zalanych facetów, staje w ogóle pod znakiem zapytania. Otwarliśmy nowe restauracje, otwierać będziemy je nadal, ale jest to tylko część problemu. Druga, znacznie trudniejsza zaczyna się w dniu otwarcia.

Niestety, cała energia ludzi odpowiedzialnych za ten stan rzeczy kończy się prawdopodobnie na uroczystym przecięciu wstęgi. O turystycznej gastronomii rozmawiałem w ciągu lipca z dziesiątkami turystów z różnych stron kraju. Zachwycając się krajobrazem, godząc się nawet na prymitywne niejednokrotnie kwatery („Sądziłmy, że będzie gorzej”), dostrzegając pozytywne zmiany, jakie zaszły na przykład w zaopatrzeniu (Sanok), pytają dlaczego tak dużo pi-

Przed kilkoma dniami słuchałem w dzienniku radiowym turystycznych zwładow reporterskich z Wrocławskiego i Wybrzeża. Jedną z informacji serdecznie mnie ubawiła. Korespondent z Koszalińskiego donosi, że Skandynawowie bardzo sobie chwają pol-

Cecylia Błońska

NAJTRUDNIEJSZY NA ZA WSZE PAMIĘTNY...



Laureata tegorocznej nagrody Ministra Kultury i Sztuki Henryka Worcella, wyróżnionego za tom opowiadań „Najtrudniejszy język świata” wielu z nas pamięta z rewelacyjnego w swoim rodzaju debiutu, którym rozpoczął karierę literacką w r. 1936.

Urodzony w roku 1909 w Krzyżu koło Tarnowa w rodzinie średniozamożnych chłopów, ukończywszy 5 klas gimnazjum, w latach 1924-36 pracował jako pikolo i kelner w rozmaitych lokalach Krakowa, m. in. w Grand Hotelu. W tym okresie zaczął pisać. Owocem doświadczeń, dojrzałych jak na młodego samouka obserwacji, była powieść „Zakłete rewiry”, która ukazała się w roku 1936 nakładem Gebelnera i Wolffa.

Był to czas szczególnego urodzaju na opowieści tkwiące mocno w realiach atrakcyjnego „mikroświata”, że wspomnę „Strachy” Ukiewskiej, później nawet sfilmowane, poświęcone tajemnicom kulis i kuluarów warszawskiego teatru.

„Zakłete rewiry” Worcella, wyróżniała warstwa refleksji wykraczających daleko poza kelnerskie tajemnice udanego serwowania do stołu, umiejętnego podliczania rachunków, małych, upokarzających taktyk w stosunku do wszechwładnego kucharza, do zarządzającego salą itp. W tych latach, gdy wielka i mała polityka miały częstokroć źródło i arenę w lokalach tego typu, gdy słynne bożyszcze warszawskich kabaretów Wieniawa-Długoszowski na ko-

niu wjeżdżał do renomowanej tancbudy, worcellowskie „Rewiry” stały się szybko bestsellerem, równie dobrze pasującym do innych wielkich przedwojennych miast, coś z historii swych obyczajów zamykających w kręgu z a k l e t e g o r e w i r u lokali z tzw. tradycją.

Kolejną pozycją Worcella był tom opowiadań „Zdarzenia w mroku”. Od r. 1943 przebywał na przymusowych robotach w Niemczech.

Po wojnie został rolnikiem; gospodarował na 10-hektarowym gospodarstwie we wsi Skrzyżka w powiecie Bystrzyca Kłodzka. Życie na roli jednakże nie zadowalało go, skoro w r. 1950 rezygnuje z ziemi i podejmuje dorywczo pracę w różnych zawodach. A równocześnie pisze reportaże i opowiadania, które złożył na zbiorek „Zimowy zasiew”. W roku 1957 ukazuje się jego powieść dla młodzieży „Wyspa starej Tekli”.

Na stałe osiadł we Wrocławiu, wydając kolejno tomy opowiadań: „Widzę stad Sudety” i „Parafianie”. Pięć również powieść o działalności świetliczanki. Za swą twórczość otrzymał nagrodę literacką Wrocławia.

„Najtrudniejszy język świata” ukazał się nakładem katowickiego wydawnictwa „Śląsk”. Ten zbiór dzieł opowiadań, opublikowany przed niespełna dwoma laty, nawiązuje do momentu zmiennego w naszej historii. Jest to okres bezpośrednio po zakończeniu wojny (dochodzą tu jeszcze echa walk toczonych już poza naszym krajem), gdy na Ziemi Zachodnie do gospodarstwa, do wzorowo prowadzonych przez Niemców zagrod, napływać zaczyna pierwsza fala osadników. Pisarz czerpie z własnych doświadczeń: sam przecież tutaj gospodarzył, zekłnął się z całą praktyczną stroną problemów osadnictwa. Nie temu jednakże poświęca swą uwagę. Pierwszą osadnicę dość zróżnicowaną w typach, zarysowani zostali grubą krechą, niekiedy trochę groteskowo; inteligent z miasta mający słabe pojęcie o trudach wiejskiego gospodarowania, jakiś profesor pełen bliżej nieuzasadnionej ważności, eks-dziedziczka z órną eks-żonierem, zespół gromadzkich urzędników, zwawy, obrotny sołtys, itd. Ale zainteresowanie pisarza kieruje się w stronę jakże zwartę, sprężystą zorganizowaną, acz perfidnie tającej swe jednoznacznie więzy spójności niemieckich zdobywców — o w y c h H a t t w i g o w. Wenigerów Hinterheimów, Wolffów, Kuntzów, Lillenthalów, Petruschów, którzy swoim wojennym hupem uczyniwszy te prastare polskie ziemie zapuścili tutaj głębokie korzenie. Obecnie w obliczu nieuchronnej klęski pragną udawać n i e w i n n y c h, nieświadomych, takich prostych, zwyczajnych, dobrych gospodarzy.

Udaje im się bez większych oporów pozyskać doraźną sympatię czy zarobić swym służalstwem i uniżoną pracowitością na tolerancję pierwszych osadników, zajętych częściej sprawami dnia powszedniego niż polityką. Uosobiony z narratorem pisarz (wszystkie opowiadania zrelacjonowane są w pierwszej osobie) również poszukuje jakiegoś ję z y k a, który nie tyle służyłby do porozumienia się z Niemcami — ich odjazd do Vaterlandu jest przesądzony i starannie zorganizowany, ile pomógł wyjaśnić motywy postępowania, przesłanki wielkiej zbrodni, jakiej ich naród dopuścił się wobec ludzkości. Pragnąłby otrzymać odpowiedź na nurtujące go pytanie zasadnicze: czy zdają sobie sprawę z tego, w czym współuczestniczyli, czy na przyszłość świat liczyć może na zmiany w ich psychice, w sposobie myślenia. Czy dostatecznie zrozumieli ję z y k i wymowę swej k l e s k i?

W tej warstwie „Najtrudniejszy język świata” wydaje się najbogatszy, mimo swej dla nas jednoznaczności (ten język pozostanie nam pamiętny na zawsze). Ileż tam znakomych, życiowych obserwacji, które autor poczynił mógł zarówno na ówczesnych Ziemiach Odzyskanych, jak i w Niemczech na przymusowych robotach!

„W pewnej chwili Krystyna, żona bohatera opowiadania „Wotan odjedzie pociągiem” wyznaje sama nieco zażenowana swą szczerością: — ja nawet dzieci niemieckich nie lubię. One już mają w sobie coś takiego... — Przyszłość — odpowiedział Stefan, który stwierdził przed chwilą, iż lubi starych ludzi. „A Niemców można tylko starych lubić”.

Kobieta dodaje: — Właśnie. A starych już nie trzeba się bać...

Bez jakiegokolwiek zacietrzewienia, zawsze skłonny do porozumień, które po tak okrutnych doświadczeniach dopomogłyby do zbudowania obustronnych stosunków od nowa, Worcell opowiada sytuacje, zdarzenia, pozostawiając czytelnikowi całkowitą swobodę oceny.

Widzimy znamiennej sceny: mściwa Erna z rodziny faszystowskich woźów z małym synkiem urządziła sobie w lesie zabawę, miotając pociski na urojonym Stalingrad, wykrzykuje w radosnym upojeniu: — Stalingrad ka-p-u-u-t! Mali chłopcy Ernest i Walter w pracowitym trudzie wznoszą na niby wielkie osiedle, prawdziwe miasto z domami, ulicami, koszarami, po to tylko, by pewnego dnia z zacieklą systematycznością burzyć je pozorowanym bombardowaniem. „To było coś tak strzaskanego, tak doszczętnie zbitego, że stanowiło jednolitą miązgę. Miałem przed sobą jakby kawałek globu podziurawionego meteorytami... Czegoś podobnego jeszcze nie widziałem. Owszem, widziałem spalone Drezno, widziałem zburzoną Warszawę, nawet Hiroszimę oglądałem fotografowaną z lotu ptaka... Ale jednak coś tam jeszcze było żywego... Tu zaś ludzie nie mieliaby czego szukać, tu tylko miązga”.

Zamykające tom opowiadanie „Destrukcyjne właściwości ognia” jest już wyraźnym ostrzeżeniem przed pożogą, której niebezpieczeństwo trzeba nieustannie zastrzegać.

Jest to jeden z najsugestywniejszych fragmentów książki. To nie zwyczajne igraszki jesienne przy ogniu Worcell pragnie uoocnić, nie przed niewinnym ogniem osadnicza Bazylewska przygarnia swoje dzieci w szczerym polu, opanowana paniką. Jest coś w tym opisie ognia pęłającego od rzyku ku wielkiemu masywowi lasu, ku bezbrojnym ludziom, co przypomina prozę Ekupery'ego: jego wstrząsający opis przesyłony przed cyklonem, który za chwilę pochłonie wszystko.

Nagroda roku 1967 dla Worcella, przyznana mu w okresie, gdy naród nasz obchodził rocznicę powstania warszawskiego, eksterminacji w gettach na terenie całego kraju, przypomina i o tym, że ładunek tych spraw najtrudniejszych nie został nam jeszcze bynajmniej odjęty...

Od lat tak się już utarło, że każde szanujące się pismo musi opublikować w lecie felieton kanikularny. Jeśli już nie felieton, to przynajmniej wiadomości godne sezonu ogórkowego. Są to zwykle mrozące krew w żyłach opowieści o latających talerzach, o węzłach morskich, o potworze, który znowu komuś się pojawił w szkockim jeziorze lub o przybyszach z Kasjopei. Są to oczywiście informacje wyszane z ogórka, lecz mają tę wielką zaletę, że sprządzają na natywnych czytelników zimny dreszcz, co przy 40 st. C. w cieniu pozwala się im trochę ochłodzić.

Sądzę jednak, że jeśli już każde, jak się wyżej rzekło, szanujące się pismo musi mieć felieton z wiado-

rekonwalescent wraca sam. Prawdę rzekiszy wyobraźnia mnie zawodzi. Nie mogę tu wymyślić nic logicznego.

A teraz coś na temat poczucia humoru budowlanych. W świeżo oddanym domu mieszkalnym na Osiedlu XX-lecia zaczął gwałtownie powstawać na ścianie wielki zaciek — załalo jedno i drugie mieszkanie przy słonecznej pogodzie i sprawności wszystkich kranów wodociągowych. Gdy rozkuto ścianę, by zbadać sedno zacieków okazało się, że tam, gdzie powinna być rura kanalizacyjna, nie ma rury. Ścisłej mówiąc, brakło odcinka rury o długości 1,5 m — wyżej była, niżej też, a w miejscu zacieków nie podobno do rury nie znalaziono. I znowu



O węzłach morskim

mościami działającymi jak prysznic, to bardziej szanujące się pismo winno mieć oryginalny felieton z tego gatunku. Należymy do takich. A więc przez z banalem — latające talerze i potwór morski nikogo już nie zadziwią. Mamy własne sensacje, tym cenniejsze, iż absolutnie prawdziwe, czego o latających talerzach itd.... powiedzieć nie można.

Czy wiecie np. że list wystany z centrum Rzeszowa do przedmieścia Drabiniaka z pomocą niezawodnej poczty dociera tam po trzech dniach?

W dawnych niecywilizowanych czasach pieszy posłaniec dostarczyłby go adresatowi w przeciągu godziny, ale dziś wszystko się pokomplikowało. List wyrusza najpierw z miasta Rzeszowa do wsi — mianowicie do wsi Siołcina, a stamtąd znowu wędruje do miasta, czyli do wspomnianego przedmieścia Drabiniaka. Ale wędruje chyba na grzbiecie żółwia.

Albo taka wiadomość: Bazę remontową dla autobusów rzeszowskiego MPK zlokalizowano w... Słupsku. Czy nie robi się zimno z emocji? Okazuje się, że autobus, który nie może dojechać z placu Farnego na ulicę Dąbrowskiego, powinien ruszyć do Słupska (około 700 km), tam go wyremontują, wróci do Rzeszowa i będzie mógł (albo znowu nie) dojechać do Domu Kultury WSK. A może jest inaczej — może zdrowy samochód holuje chorego nad morze, a później radośnie wracają razem? Chyba nie, bo przy takiej gospodarce benzyną trzeba by było zlikwidować wszystkie zapalniczki. Zostaje trzecia możliwość, wagon PKP transportuje pojazd MKS przez całą Polskę, a później

nie wiadomo czy wykonawcy tak się spieszyli z wykonaniem planu, że zapomnieli wmontować odcinek rury, czy też miał to być z ich strony dowcip. Chyba dowcip, bo to wesołe.

Jeśli w tym zestawieniu poinformujemy naszych czytelników, iż Zakłady Młynarsko-Paszarskie w Rzeszowie przygotowują się intensywnie do produkcji żarówek to nawet zbyt mocno się nie zdziwią. Jeśli dorzucę, iż Rzeszowska Spółdzielnia Mieszkaniowa wniosła do sądu skargę na lokatora, iż nie płaci za pobieraną w mieszkaniu na Osiedlu Tyśiąclecia — wodę, a tenże lokator broni się, iż nie może płacić z uwagi, których mu nikt nie wyświadcza, gdyż wody w jego domu nigdy nie ma, a radca prawny spółdzielni powiada, że to nie jest żaden argument, bo mieszkańcy połowy miasta nie korzystają z wody, ale za nią płacą — to każdy czytelnik stwierdzi, że powstała kołomyjka, niech ręka boska broni i nie więcej. Kołomyjki znamy różne i nie nas już nie przestraszy.

Nie ulega jednak wątpliwości, iż fakty, o których piszę, spełniają podstawowe warunki informacji kanikularnej, mimo iż ich sensacyjność nie jest najwyższej jakości, gdyż nie mieszczą się w kategoriach zdrowego rozsądku — zawierają w sobie elementy mistycyzmu i metafizyki. I jeśli czasem po nich robi się chłodno, to chyba z tego ciągu za świata (za świata logiki). Cóż więc trzeba na upatę.

A węzł morski nam nie dziwny. Jeden z naszych kolegów redakcyjnych już od dawna hoduje takiego trochę mniejszego w kieszce.

JOTGIEL

W poszukiwaniu bohatera

(Ciąg dalszy ze str. 3)

ściowe takie cechy, jak odpowiedzialność, lojalność wobec otoczenia, rzetelność w pracy, świadomość, że pracuje się dla społeczeństwa, a ponadto skromność, głęboka wiedza i przyjazny stosunek do ludzi.

Wydaje się, iż takie właśnie plebiscyty stanowią nie tylko jedną z dróg poszukiwania współczesnego bohatera wśród ludzi, z którymi współżyjemy, lecz zarazem poważny instrument oddziaływania wychowawczego. Młodzi ludzie, chcąc się zdecydować na wysunięcie czyjeś kandydatury, muszą przede wszystkim sami przemyśleć, jakie cechy osobowości i działania najbardziej cenią i w związku z tym, jacy sami chcieliby być. Jest to więc, jak sądzę, poważnym krokiem naprzód zarówno w poszukiwaniu bohatera pozytywnego naszych czasów, jak i w procesie wychowania.

HENRYK JANKOWSKI

POLONICA KULTURALNE

SUKCES GROTOWSKIEGO W SPOLETO

Na trwającym obecnie w Spoleto pod Rzymem festiwalu „Dwu Światów” dużym powodzeniem i wysokim uznaniem cieszy się wystawiona przez Teatr-Laboratorium z Wrocławia sztuka Calderona-Słowackiego „Książę Niezłomny” w interpretacji scenicznej Jerzego Grotowskiego.

Krytyka włoska określa spektakl jako „wstrząsający”. „Il Paese” stwierdza, że spektakl jest dowodem „wielkim dojrzałości kultury teatralnej, awangardy przemysłowej i nowoczesnej” oraz podkreśla „skuteczność nadzwyczajnej pracy włożonej w aktora”.

SUKCES POLSKIEGO SPIEWAKA NA KONKURSIE W RIO DE JANEIRO

Teatru Muzycznego Opery i Myriak, brał udział w czerwcu br. w międzynarodowym konkursie śpiewa-

czym w Rio de Janeiro. Wśród śpiewaków z 17 krajów uczestniczących w tej imprezie zajął on piąte miejsce. Prasa brazylijska zamieściła pochlebne recenzje z występu Kazimierza Myriaka w partii Eugeniusza Oniegina.

WYSTAWA FOTOGRAFII O POLSCE W ALGERZIE

Ambasador PRL w Algierii — Edward Wychowaniec dokonał otwarcia w stolicy kraju wystawy pt. „Polska w fotografii”. Ponad 50 zdjęć, wykonanych przez znanych polskich fotografików i fotoreporterów, ukazują życie współczesne Polski, piękno naszego kraju, jego zabytki.

NOWELE POLSKIE W DANII

„Wspaniały wybór nowel polskich” — takim tytułem opatrzył recenzję książki „Ny polska prosa” („Nowa polska proza”) dziennik „Politiken”. Tom zawiera utwory Nałkowskiej, Brychta, Borowskiego, Kazimierza Brandysa, Brylla, Grochowiaka, Stachury i innych.



KANIKUŁA

Jot. M. KOPEĆ

17 - 20 sierpnia

List z Lublina

Strzały nie AMORKA

„SOPOT 67“

Przygotowania do VII Międzynarodowego Festiwalu Piosenki w Sopocie...

Co tu wiele mówić; Sopot wśród licznych festiwali piosenki...

Festiwal zakończy 20 bm. maraton w wykonaniu piosenkarzy...

Wszystkie koncerty festiwalowe

prowadzić będzie nowa para konferansjerów: Lucyna Winnicka...

Wieżę niesie, że niejedną z piosenek odznacza się nie tylko umiejętnościami wokalnymi...

Przypomnijmy sobie jeszcze; Polskę reprezentować będą: w Dniu Międzynarodowym piosenka Sławińskiego...

„Polskie Nagrania“ w Dniu Piętowym zaprezentuje: Ewa Demarczyk, Krystyna Konarska, Lucja Prus...

„Bursztynowy słownik“ czeka na zwycięzcę!

Pewna studentka rodem z Rzeszowa, którą przed dwoma laty przysparzała UMCS...

— Strasznie przyzwyczaiłam się do Lublina. Będzie mi latem brakowało wieści z tego miasta...

Chciałbym poznać takiego dziennikarza, który chętnie pisze listy. Co innego artykuły publicystyczne...

W danym wypadku nie ma jednak mowy o sprawach Amorka, ale o problemach bardzo przyziemnych. Ponieważ zobowiązałem się...

Co tu właściwie można o Lublinie napisać? Nie skrytykuję teatru, bo nieczynny, również operetka zamknęła swoje podwoje...

Ale tak poważnie, to sprawa kąpielisk z prawdziwego zdarzenia urasta w Lublinie do problemu. Bystrzycę zamierzają zburzyć...

jednak co, pozostaje nam przepelniony basen i rzekocięci (prawda, jaki ładny nowotwór językowy?)

Zaczynam już trochę wybrzydzac, chociaż adresatów mego zażalenia mógłbym szukać w pomrocznej dzielnicy...

Mimo woli utknałem w historii. Rzecz o tyle dobra, że właśnie Lublin obchodzi w tym roku 650-lecie nadania mu praw miejskich...

Rok bieżący jest więc dla Lublina rokiem jubileuszowym. Owym jubileusz widać jednak było zaledwie w pierwszych dniach czerwca...

Stop! Zapalam czerwone światło przed czarnowidztwem i na nos kładę okulary z różowym szkielkiem. Przez to różowe szkielko oglądam...

Wydawnictwo Lubelskie otrzymało w tym roku zbiorową nagrodę przyznaną corocznie przez Prez. WRN w Lublinie...

kiadem Wydawnictwa Lubelskiego. Gratulując odznaczonym trzeba jednocześnie dziękować Prez. WRN...

Z przerwaniem patrzę, że już wystukałem trzy strony maszynopisu. Ponieważ szereg spraw zostało jeszcze do odfajkowania...

MAREK A. JAWORSKI

Dla każdego turysty

Podobnie jak mapa i plan terenu, tak prospekt, folder powinien być podręcznym i niedzielnym rekwizytem turystycznym...

Wśród dostępnych w obecnym sezonie znajdują się: „PRZEMYSŁ — KRASICZYN — DUBIECKO“ oraz „KROSNO — PRZĄDKI — ODRZYKON“...

Podobnym, ale nieco rozszerzonym folderem jest „POGORZE DYNOWSKIE“ — wydawnictwo Wojewódzkiego Ośrodka Informacji Turystycznej...

Lapidarne ujęcie historii miasta, zdjęcia zabytków z krótkim opisem i wreszcie plan miasta — wszystko to jest niesychanie cenną rzeczą dla turysty...

Ładnie wydany prospekt przez Muzeum w Sanoku poświęcony jest MUZEUM BUDOWNICTWA LUDOWEGO. Zawiera on wiadomości — nie tylko o zgrupowanych tam ekspozycjach i przeniesionych do Parku Etnograficznego budowlach...

Odnotować jeszcze warto folder Komendy Głównej MO „Dla każdego turysty, aby nie mu nie zakłócało przyjemności podróży“...

Praktycznej przydatności folderów kwestionować nie można. Ale budzi zastrzeżenie fakt, że publikacje mimo swojej wartości z punktu widzenia popularno-informacyjnego — są jeszcze zjawiskiem niezwykle rzadkim...



Na zdjęciu: Triumfator „Sopot 66“ Greczynka Angela Zilia — już tylko symbol piękna i prawdziwej sztuki piosenki.

Fot. ST. FIGLAROWICZ

Marian Załucki: CZY PANI LUBI ZALUCKIEGO? Wiersze wybrane 1950-1965. Iskry, s. 222, cena 25 zł.

Piotr Wojciechowski: KAMIENNE PSZCZOŁY. Iskry, s. 199, cena 10 zł. Powieść ujęta w formie 42 listów...

Richard Gordon: PAN DOKTOR NA MORZU. Tłum. A. Strzelbicki. Wyd. Morskie, s. 262, cena 17 zł.

Georges Simenon: PREMIER. Tłum. H. Oledzka. PIW, s. 150, cena 15 zł.

Simonona znamy jako świetnego autora powieści kryminalnych. Nie jest to jednak jedyny krag zainteresowań tego pisarza...

Georgij Szyln: TRĘDOWACI. Tłum. E. Słobodnikowa. Iskry, s. 447, cena 20 zł. Zmarły w 1941 roku pisarz celował w literaturze dokumentalno-reportażowej...

Aleksy Tołstoj: DROGA PRZEZ MEKĘ. Tłum. W. Broniewski. T. I-III, Czytelnik. Cena całości 60 zł.

Leon Wanat: ZA MURAMI PAWIAKA. Wyd. IV rozszerzone. Przedm. P. Gojawczyńska. KiW, s. 547, cena 32 zł.

Borys Polewoj: OPOWIEŚĆ O PRAWDZIWYM CZŁOWIEKU. Tłum. J. Wyszomirski. Wyd. VIII. Iskry, s. 294, cena 9 zł.

Kazimierz Wyka: STARA SZUFLADA. Wyd. Literackie, s. 290, cena 30 zł. Profesor, historyk literatury prezentuje swym uczniom i czytelnikom „Wytwory krytyczne“...

Ryszard Panasiuk: FILOZOFIA I PAŃSTWO. KiW, s. 400, cena 35 zł. W „Bibliotece Studiów nad Marksizmem“...

Stanisław Markiewicz: WSPÓŁCZESNE CHRZEŚCIJAŃSTWO W POLSCE. KiW, s. 194, cena 12 zł.

IX ZJAZD BUŁGARSKIEJ PARTII KOMUNISTYCZNEJ. 14-19 listopada 1966. KiW, s. 193, cena 10 zł.

IX ZJAZD WĘGERSKIEJ SOCJALISTYCZNEJ PARTII ROBOTNICZEJ. KiW, s. 185, cena 8 zł.

Jerzy Knebel: SPD WOBEC SPRAWY POLSKIEJ. (1914-1918). KiW, cena 6 zł.

Władysław Kamieniecki: PRZYRZĄDZANIE I KONSERWACJA PASZ. PWRiL, s. 148, cena 16 zł.

LESNICTWO I PRZEMYSŁ DRZEWNY W POLSCE. PWRiL, s. 144, cena 36 zł. Album.

Witold Wroński: ILUSTRACJA MUZYCZNA W UTWORACH SCENICZNYCH. (w ujęciu historycznym). S. 101, cena 25 zł.

Gwiazdzisty rajd Pogorza Dynowskiego

Starania Brzozowskiego Towarzystwa Kultury dzięki oparciu WRN zostały uwieńczone sukcesem. Itak 1967 rok był pierwszym rokiem...

Warto podkreślić, że rajd to nie tylko dodatkowa atrakcja folklorystycznej imprezy...

Gwiazdzisty rajd Pogorza Dynowskiego

Ładnie wydany prospekt przez Muzeum w Sanoku poświęcony jest MUZEUM BUDOWNICTWA LUDOWEGO. Zawiera on wiadomości — nie tylko o zgrupowanych tam ekspozycjach...

Praktycznej przydatności folderów kwestionować nie można. Ale budzi zastrzeżenie fakt, że publikacje mimo swojej wartości z punktu widzenia popularno-informacyjnego — są jeszcze zjawiskiem niezwykle rzadkim...

Wyjaśnienie

Szanowny Panie Redaktorze! Zgodnie z życzeniem Pani Danuty Demkiewicz z Birczy pragnę wyjaśnić, iż postać Janki z mojej powieści pt. „Pogani“ jest całkowicie fikcyjna i jakiegokolwiek podobieństwo tej postaci do osób rzeczywistych jest zupełnie przypadkowe.

ADAM AUGUSTYN

Na naszym ekranie

RENÉ CLAIR

Najbardziej smutnym zjawiskiem w sztuce filmowej jest szybkość jej przemijania. Tak jak gazeta żyje jeden dzień, gdyż następnego czytelnik sięga już po inną, tak i film liczy się tylko jakiś czas po jego wyprodukowaniu. Po kilku latach jego uroda blaknie, utwór odchodzi w niepamięć przestroniętych dziesiątkami i setkami innych obrazów wyrzucanych bez przerwy na ekrany przez wytwórnie filmowe całego świata. Do niezwyklej rzadkości należą dzieła, które mogą wrócić po latach do kin i napotkać przychylnie przyjąte, ale i one zazwyczaj poddawane są różnym zabiegom „odświeżającym”, zmieniającym w jakiś sposób ich pierwotną postać.

Odeszły w przeszłość setki obrazów, którymi zachwycały się miliony ludzi, z młodych kinomanów mało kto wie coś o tych filmach i ich twórcach. Postawiony na głowie system rozpowszechniania filmów, przestarzałe przepisy o eksploatacji, barbarzyńskie zasady umów handlowych skazujące faktycznie na śmierć po określonym czasie wyświetlania najbardziej wartościowe dzieła — wszystko to sprawia, że ogromna większość publiczności może zapoznać się tylko z współczesnymi jej utworami. Sytuacji tej nie zmienia fakt działalności dyskusyjnych klubów filmowych, ani rzadko rozsiadanych kin studyjnych — to tylko kropla w morzu potrzeb i możliwości. Nic zatem dziwnego, że podstawowej, najmłodszej części widowni nazwisko René Claira znane jest raczej z prasy filmowej niż z ekranu, że także kinomani przed trzydziestką pamiętają zaledwie 2-3 i to nie najbardziej reprezentatywne dla tego twórcy filmy, jak np. „Ożeniłem się z czarownicą” czy „Wszystko złoto świata”.

Tymczasem René Clair traci swoją popularność. Do filmu francuskiego przyszedł nowi, utalentowani twórcy reprezentujący inne niż on kierunki artystyczne, często odmawiający jego sztuce wszelkiej wartości, w ślad za tym stracili dla wielkiego reżysera sympatię liczący krytycy filmowi, określający dziś jego twórczość jako pretensjonalną, natwną, tracącą myśkłą i stęchłą, a samego artystę jako jednego „z producentów bezwartościowej konfekcji”. Czytający podobne określenia w olbrzymiej większości nie wiedzą nawet, że jeszcze 15 lat temu te same gazety pisały o Clairze z najwyższym uznaniem, wychwalały jego talent i zasługi dla kinematografii francuskiej i światowej. Dziś zaś wini się go „za spłykanie” filmu francuskiego.

Wydać mi się, że nie byłoby potrzeby bronić Claira przed tymi atakami, gdyby mógł obronić się sam poprzez swoje utwory. Ten żołnierz pierwszej wojny światowej, poeta i dziennikarz, który przyszedł do kinematografii nie tyle dla niej samej, co dla pięknych dziewcząt, jakie gromadziła, a dziś pierwszy spośród filmowców członków Akademii Francuskiej, w pamięci starszego pokolenia kinomanów utrwalili się jako autor przepięknych filmów, bawiących i wzruszających do łez, dających widzowi wiele niezapomnianych przeżyć. Oczywiście Clair jak każdy z nas był produktem swojej epoki i jej produktem są jego filmy, poza tym miał prawo — jak każdy twórca — wyboru określonego kierunku swojej działalności. Porównywanie go zatem do młodych reżyserów, zarzućy uciekania od rzeczywistości, braku współczesnych problemów w jego utworach są niesprawiedliwe. Czy szukamy w kinie tylko współczesności? Czy szukamy tylko odpowiedzi na nurtujące nas wątpliwości i problemy?

Jestem tylko skromnym producentem cieni — powiedział René Clair na uroczystości przyjęcia go w poczet członków Akademii Francuskiej i trzeba uszanować ten jego wybór.

Przy innej okazji ten sam reżyser stwierdził: „Kiedyś film współczesny wyda nam się niewątpliwie równie zdumiewający, jak dziś wydają się nam dziewczęta Mack Senneta w kąpieli. Czy taki sam czar będzie promieniował z tych postarzałych filmów? Sądzę, że tak, ale zbyt często zdarza mi się mylić. Każdy ma swoją przeszłość. Do każdego pokolenia należy kilka lat, do których ono później powraca, aby odnaleźć obraz swojej młodości”.

Jak bardzo trafne są te słowa! Parafrazując ostatnie zdanie można stwierdzić, że „do każdego pokolenia należy także kilka filmów, do

których ono później powraca, aby odnaleźć obraz swojej młodości”. Są wśród tych filmów dzieła Claira takie jak urzekające swoją utrylową niemal scenografią i oryginalną atmosferą „Pod dachami Paryża” czy „Milczenie jest złotem”, które wyświetlane w zniszczonej Polsce tuż po wojnie przypominało, że istnieje uśmiech i wdzięk, przenosiło w inny świat, dając jakże potrzebne wytchnienie w ówczesnej twardej i bezwzględnej rzeczywistości. Są to także filmy jak „Piękności nocy”, „Wielkie manewry”, „Urok szatana” czy „Porte de Lilas” — filmy sławiące miłość, dobroć i szlachetność, piękno i wdzięk. Clair tworzył w nich specyficzny świat i nastrój odmienny od rzeczywistego, ale przecież i tam znajdujemy echa spraw zajmujących współczesność, potępienie siły, gwałtu i wojny.

Reżyseria René Claira ma wiele elementów wspólnych z... aktorstwem naszego Kazimierza Rudzkiego. Jest tak samo elegancka, pełna lekkości, wdzięku i kultury; nieco staroświecka, ale przez to właśnie oryginalna; jego filmy przepełnione są humorem i muzyką. Wszystko to razem jest nam w życiu bardzo potrzebne, czyni nas bogatszymi i lepszymi. I choć najnowszy film Claira „Wojenka, wojenka”, który wejdzie wkrótce do kin jest tylko świadectwem dobrego rzemiosła i sprawności reżyserskiej, to przecież tamte obrazy z okresu świetności artysty zawsze pozostaną w pamięci tych, którzy je oglądali. (Sz.)

WIDNOKRĄG
odpowiada

J.S. SIENIAWA: Niestety, nie skorzystamy, mimo iż pańska muza znakomicie reaguje na aktualne wydarzenia. Kilka dni temu zatruto wody Sanu i już Pan pisze na ten temat wiersz pt. „San — to nie ściek”. Bardzo nas zainteresowała ostatnia zwrotka, którą cytuję: „Ostatni raz ostrzegamy // tych co fau- nie chcą nam struść // Na brudy wasze środki mamy // i więcej was nie będzie... Jakież to środki? Czyżby chodziło o reklamę piynu „ixi” lub płatków mydlianych? Pogórka jest mocna, ale wiersz bardzo słaby.

B.B. JAROSŁAW: Tak bardzo nieładnie pożyczacie od znanych poetów całe strofy do swoich wierszy, tym bardziej że trudno będzie oddać. Znani poeci chyba nie zechcą korzystać z pańskich wierszy. W wierszu „O szychy deszcz dżwoni” pożyczyci Pan od Staffa cały fragment „Dżdżu kropie padają i tłu- kają w me okno // Deszcz szklany, płacz szklany a szychy w mgle mokną”. Ten fragment nam się podobał — wszystkie inne strofy niestety, nie.

A.F. KROSNO: Bardzo się cieszymy, że Bieszczady wywarły na Panu tak silne wrażenie, iż musiał je Pan zamknąć w rymach. Ale poezji nie oddał Pan przez to zbyt wielkiej usługi. Rymy są bowiem straszne. Np. „Autokar nasz znów się wspina” // w dół wsie wolniutko spadają // Gdzieś z boku zaprasza Solina // o której w radiu śpi- wają”. Ze względów oczywistych nie skorzystamy.

A.G. — Najpierw warto nauczyć się pisać w ogóle, a dopiero później pisać wiersze. Np. „rzucać” piszemy przy- rz, a nie przez ż. Nie będziemy tu wyliczać innych błędów ortograficznych, których nie brak, aby autora nie zawstydzić. I po co ta „Oda do wolności” zaczyna się gromko „O wy szkielety ludów // rozpieszczone powietrzem stę- chłym” skoro znacznie lepsze ody już w naszej literaturze istnieją. Niestety — koszt!

Opowiadanie folklorystyczne

Kłęczany

Jedni powiadają, że się nazywał Kłęk, drudzy twierdzą, że trochę inaczej — Kłęczan. Ten pan Kłęk czy Kłęczan nadał nazwę wsi Kłęczany.

Dlaczego Kłęczany nie Kłęczana? Różnie z tą nazwą bywało. Ostatnie utarła się nazwa wsi nie Kłęczana, lecz Kłęczany. Były tego dwie przyczyny:

Pierwsza: Ten pan Kłęk czy tam Kłęczan, za nim jego potomkowie, swoich chłopów pańszczyźnianych karał często surowo tęga chłostą i nie, jak gdzie indziej zwyczaj dawniej był, na p o k ł a d k e, lecz na kłęczkach. Karani w takiej pozycji błagali panów na próżno, zębrząc u katów zmiłunku, nieraz do utraty przytomności, a stójkowci wtedy mieli bicia dość, kłedy moczone w konew- kach kije wierzbowe złamali.

Druga przyczyna nazwania wsi nasze Kłęczanami dotyczy czasów późniejszych. Było to już po zniesie- niu pańszczyzny, w okresie kasowa- nia serwitutów. Przyległy las i pa- stwiska należały się gromadzie. Ale wójt naszej wsi przekupiony przez dziedzica z Będziemyśla zrzekł się gromadzkiego na rzecz pana. Była to wyraźna krzywda wolnych kmieci, którzy chociaż wtedy ciemni, nieuczni, przecież na swej krzywdzie się poznali, no i prawa do pa- stwiska i do lasu udali się z miejsca bronić aż do Wiednia.

Kłękneli tym razem nie przed swym katem dziedzicem, jeno ugili kolana przed cesarzem. Najjaśniejszy przyznał chłopom las i skotnie, ale przy skotni się tylko utrzymali, no bo ten wójt zdrójcysyn umiał las

JAN ROBAK — Kierownik kapeli
WDK w Rzeszowie



Rys. J. SIENKIEWICZ

Kalman Segal

SAFES

Nawet ludzie najskromniejsi i najcichsi zazdrościli mu szczęścia. Nazywano go Krezusem, Rotszyldem, Rockefellerem. Nikt nie znał dokładnie wartości jego legendarnego majątku, lecz wszyscy wiedzieli, że to człowiek bogaty, a więc godny szacunku i uwielbienia. Niektórzy oceniali jego majątek na miliony, inni na setki milionów, a najbardziej egzaltowani twierdzą, że jest miliarderm.

Jego dalsi krewni i serdeczni przyjaciele kipieli z zazdrości i chorowali na zółć. Nie mogąc się doczekać śmierci bogatego człowieka i spadku po nim, sami umierali w okrutnym rozczarowaniu i nędzy.

Blizsza zaś rodzina żyła dumnie, jak przystało na spadkobierców bajecznej fortuny. Zona, synowie i córki, a także pozostali domownicy spędzali wiele godzin dziennie przed zdobnym ogniotrwałym safesem, w którym spoczywały rodzinne skarby. Patrzyli z nabożeństwem na stalowe drzwiczki i skomplikowane zamki, a na górnej ścianie metalowej skrzyni umieszczali bukiety wonnych kwiatów.

Trwało to wiele długich i pięknych lat. Pewnego dnia bogaty człowiek umarł, pozostawiając bliskich w wielkiej żałobie.

Odmówiwszy pacierze za umarłych, spadkobiercy pograżeni w żalu podeszli do ogniotrwałej skrzyni i ze iza mi w oczach otworzyli stalowe drzwiczki. W pustym safesie znaleźli karteczkę z napisem: „Komukolwiek jestem dłużny — przebaczam...”

Żałobnicy byli nieutuleni w żalu. Podawając sobie karteczkę z ręk do ręk, szeptałi wzruszeni:

— Jaki on był dobry... Wszystkim przebaczył...

Rzeźbiarze w Hajnówce

Rzeźbą w metalu i drewnie oraz ceramiką zajmują się artyści- plastycy przebywający obecnie na plenerach zorganizowanych przez Zarząd Główny ZPAP w Suchedniowie, Obrońsku, Bolechowicach, Bolesławcu i Hajnówce. Do bardziej atrakcyjnych należy niewą- pliwie plener w Hajnówce, na którym przebywa 14 artystów rzeźbią- cych w drewnie.

Położona na skraju Puszczy Biało- wieskiej Hajnówka, gdzie czyn- nych jest kilka zakładów przemy- słu drzewnego już po raz drugi do- starcza artystom surowca i umożli- wia im pracę twórczą. Plener trwać będzie do 20 bm. Artysty za- mierzają przeznaczyć wykonane w Hajnówce prace na ogólnopolską wystawę rzeźby. Tematem większo- ści prac jest człowiek.

sośnik panu przemydlić, chytry judasz, mydlik jeden.

Na pięćdziesiąt wsi Kłęczany uwiecz- niono obie sprawy w postaci wie- śniaka kłęczącego. Ten chłopina na pięćdziesiąt przypomina i karanie pań- szczyźnianków na kolanach i żebrani- e we Wiedniu w tej pozycji u ce- sarsza.

Po panach w Kłęczanach znaku nie ma. Nawet nie wiadomo, gdzie był pałac tych Kłęczanów, Kłęków czy nawet później Kłęczynskich. Mu- sieli dawno wykopać za swe zbytki, kiedy ich panowie z Będziemyśla za- stąpili. Ale nie o panów chodzi. Cie- kawo nas nazwa wsi. Nazwę Kłęczan- nom, jak z powyższego wynika, na- dall nie tak panowie, co poddani, ci co z nimi wojowali poprzez wieki o swe prawa: kłękający kłęczanie, po staropolsku kłęczany.

Opowiedział: Józef Łoboda z Kłę- czan, pow. Ropczyce

Opracował: Władysław Długosz

Zdarzenia
tygodnia

W Pawilonie Wystawowym przy placu Szczepańskim w Krakowie otwarta została 5 sierpnia wystawa malarstwa Cezariusza Kotowicza, Zdzisława Ostrowskiego, Mariana Strońskiego i Mariana Ziemińskiego. Wystawę prac (po 20 każdy) wyżej wymienionych członków rzeszowskiego Oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków zorganizowało Biuro Wystaw Artystycznych i ZPAP w Krakowie.

W Jaśle, Gorlicach, Krośnie i Sanoku występował ostatnio kabaret „Piątka”, który tworzą tegoroczni absolwenci Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej z Łodzi.

„Piątka” zaprezentowała interesujący program pt. „Dobry wieczór”, na który składają się teksty K. I. Gałczyńskiego, łódzkich autorów i utworów własne.

Lubaczowski Oddział Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego przejął ostatnio zarząd nad tamtejszym Muzeum Regionalnym. Po zakończeniu rozpoczętego już remontu lokalu przystąpił się do gromadzenia zbiorów i organizowania ekspozycji. Zatrudnieni w tym celu pracownicy będą również informować zwiedzających.

Amatorzy plastycy, zrzeszeni w istniejącym przy WDK w Rzeszowie Klubie Amatora Plastyka, przebywają na plenerze w Jarosławiu i Przemysłu. Z tej formy pomocy, udzielanej amatorom przez Wojewódzki Dom Kultury skorzystało w tym roku 20 osób.

Plon 10-dniowego pobytu uczestnicy pleneru będą mogli zaprezentować na specjalnie w tym celu zorganizowanej wystawie, którą będzie można obejrzeć we wrześniu w jednej z sal WDK.

W Rzeszowie trwa, zorganizowany przez Zarząd Wojewódzki Związku Młodzieży Wiejskiej, Wojewódzki Dom Kultury i Zarząd Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego kurs przygotowawczy dla nauczycieli ze środowisk wiejskich. Podczas dwutygodniowych zajęć (wykłady i zajęcia praktyczne) uczestnicy zapoznają się z formami pracy kulturalno-oświatowej na wsi.

W Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Gorlicach odbyła się 5 sierpnia br. narada przedstawicieli tamtejszych instytucji i organizacji, poświęcona omówieniu spraw związanych z organizacją uroczystości i imprez artystycznych „Dni Gorlic” oraz „Dni Folkloru Pogórza” w Bieczu. Te doroczne już imprezy odbędą się we wrześniu.

Program ostatniego odbytego zebrania członków i sympatyków Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy oraz Klubu Literackiego wypełniło wystąpienie Zbigniewa Jerzyny, zatytułowane „Nowoczesność i współczesność w poezji” oraz prezentacja nowych wierszy.

KONKURS
fotograficzny

Wydział Kultury Prez. MRN w Rzeszowie oraz Rzeszowskie Towarzystwo Fotograficzne ogłaszają konkurs pt. „Rzeszowskie imprezy”. Celem konkursu jest popularyzacja dobrej sztuki fotograficznej, związanej z terenami naszego województwa i miasta Rzeszowa. O wyborze tematyki winny decydować osobiste wrażenia i subiektywny sposób widzenia oraz niekierowana żadnymi rygorami inwencja amatora fotografii. Każdy uczestnik konkursu może przesłać nie więcej niż 12 fotografii. Na odwrocie podać tytuł pracy i godło. Konkurs nie uwzględnia prac już kiedyś nagrodzonych. Fotografiami w należytym opakowaniu (uszytwnione tektura) należy przesyłać do dnia 30 IX 1967 r. pod adresem Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, Wydział Kultury, Rzeszów, Okręgi 1.

Dla najlepszych fotografii przewiduje się następujące nagrody: pierwsza nagroda 2500 zł, druga — 2000 zł, trzecia — 1000 zł oraz trzy wyróżnienia po 500 zł. Ustalono również nagrody dodatkowe za najlepsze zdjęcia kolorowe: pierwsza 2000 zł, druga — 1500 zł oraz trzecia — 1000 zł.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi 15 X 1967 r.